

Swoistą zasadą ludzkiego działania jest myślenie. Należy zatem identyfikować sposoby myślenia, zastanawiając się nad tym, jaka zasada kieruje tym myśleniem, jaką filozofią ktoś myśli i jakim językiem filozoficznym przemawia, bo przecież z „głębokości serca mówią usta”. Ogólnie rzecz biorąc, współczesne myślenie jest zdekonstruowane. Dekonstrukcja to nie tylko modna kategoria naszych czasów, lecz współczesny wzorzec myślenia. Definicja dekonstrukcji wymyka się nam jak mokra kostka mydła pod prysznicem. Myślenie zdekonstruowane jednak to *pensiero debole*. Nie dąży bowiem do prawdy, a wręcz jej unika. I właśnie „słabe myślenie” osób mających realny wpływ na politykę edukacyjną przyczyniło się do dekonstrukcji misji współczesnego uniwersytetu. Osoby te bowiem zdecydowały, iż racją bytu współczesnej uczelni wyższej nie będzie poszukiwanie i przekaz prawdy, lecz ekonomia. Nauczyciele, naukowcy i studenci będą zaś zajmować się „informacjoprzetwórstwem”. Jednak bez prawdy nie ma uniwersytetu godnego tego imienia. I właśnie przy użyciu zdekonstruowanego myślenia podmienia się paradygmaty tworzące fundament uniwersytetu. W miejsce paradygmatu „wyzwolenia przez prawdę” – paradygmat „wyzwolenia od prawdy”.

Czy potrzebna jest jeszcze filozofia i filozofowie? Tak – bardzo potrzebna. Świadczy o tym współczesny model uniwersytetu i to, co filozofia właśnie z nim zrobiła, lub raczej co zrobił z uczelnią wyższą brak dobrej filozofii.

ISSN 1642-1248

Σ Ο Φ Ι Α Vol. 15 (2015)

DOI: 10.15584/sofia.2015.15.26

Jadwiga Mizińska

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie

***Otsiebina* czyli filozofia autorska**

«Отсебятина» или авторская философия

Profesor Andrzej Nowicki, opowiadając grupie swoich uczniów i przyjaciół o swej, przypadającej na lata pięćdziesiąte XX wieku, młodości, wspominał, że ówczesni wykładowcy filozofii bez ustanku gnębili go za „otsiebinu”. Reagując na nasze zdziwione spojrzenia, wyjaśnił, że chodziło o zarzut, iż swoje zaliczeniowe prace pisze *od siebie*, zamiast, jak to było przyjęte, cytować klasyków marksizmu oraz ich entuzjastycznie wychwalać.

Od tego czasu, kiedy przechodzi mi czytać i opiniować zarówno prace studenckie, jak też doktorskie, habilitacyjne, a nawet profesorskie, nie mogę się oprzeć przed stosowaniem, prócz wszelkich innych, także i tego kryterium: czy mianowicie autor posługuje się w większości *czużiną*, czy też – *otsiebina*. To znaczy: czy kontentuje się erudycyjnym i warsztatowo poprawnym referowaniem cudzych poglądów, dodając do nich jedynie własne drobne komentarze, czy też – deklaruje własne filozoficzne stanowisko (albo przynajmniej wyrazistą tezę), wyklada je *expressis verbis*, argumentuje i stara się ich bronić. Ewentualnie, także krytykować cudze poglądy, ale ze swojego własnego punktu widzenia.

Nawoływanie do uprawiania *otsiebiny* (co dalej będę nazywała *filozofią autorską*), wydaje się być dziś wołaniem na puszczy, jako że obecny, narzucony przez ministerstwo, system „parametryzacji” sprzyja, a wręcz wymusza, postawę odwrotną. Chcąc sprostać biurokratycznym wymaganiom, bezpieczniej jest zajmować się dorobkiem innych myślicieli, względnie tematami znanymi, sformułowanymi i opracowanymi przez – najchętniej – filozofów zachodnich. Wystarczy popisać się bogatą, obcojęzyczną bibliografią i wiernym odtworzeniem „stanu badań”, by dana praca szczęśliwie przeszła przez sito recenzji jako co najmniej poprawna. W efekcie dochodzi do takiej unifikacji języka i stylu, że gdy dostaje się do zaopiniowania jakąś złożoną z kilkunastu artykułów różnych autorów, zbiorówkę, można bez szwanku poprzemieniać ich nazwiska. Niemal wszyscy bowiem posługują się wypranym z osobowości, monotonnym „stylem akademickim”.

Profesor B., twórca jednego z bardziej oryginalnych polskich systemów filozoficznych, usłyszał kiedyś, powtórzoną mu z drugiej ręki złośliwą o nim opinię młodszego kolegi W., zajmującego się głównie komentowaniem Heideggera. Zamiast unieść się gniewem czy obrazić, B. zapytał z zaciekawieniem:

– A co sam W. myśli że?

Aczkolwiek niepoprawne gramatycznie, pytanie B. utkwilo mi mocno w pamięci i zadają je sobie przy studiowaniu recenzowanych czy opiniowanych prac. Tym bardziej, że np. przy rozprawach habilitacyjnych, zgodnie ze wskazówkami Centralna Komisja do Spraw Stopni i Tytułów, trzeba ocenić, w jakim stopniu jest ona nowatorska. Tak więc autorzy dysertacji stają dziś przed łami-główką: jak uzgodnić wymaganie bycia nowatorskim z niepisaną regułą „poprawności intelektualnej”.

Zadowolanie się „obsługiwaniem” gotowych i uznanych, a najlepiej modnych, cudzych koncepcji, pod pozorami skromności, maskuje zazwyczaj ten oto fakt: że „Uczony-Komentator” albo lęka się ujawnienia własnych poglądów, albo ich po prostu nie posiada.

Ministerialna biurokratyczna machina, preferując stereotypowy „styl akademicki”, prowadzi do unifikacji, a tym samym sprzyja konformizmowi i oportunistom. Pozostaje kompletnie nieczuła na specyfikę humanistyki, a już szczególnie filozofii, która od zarania stanowiła domenę „stylu autorskiego”.

Każdy z filozofów, uznany w przyszłości za klasyka, swoim poglądom nadawał niepowtarzalne piętno własnej osobowości.

Żartowano kiedyś, iż trzynomowa *Historia filozofii* Władysława Tatarkiewicza przypomina książkę telefoniczną. Faktycznie, według stałego schematu przedstawiała sylwetki najwybitniejszych myślicieli takiej rangi, jak Platon, Arystoteles, Tomasz z Akwinu, Kartezjusz, Hegel, Marks oraz ukuwała pochodzące od ich imion i nazwisk „nazwy własne”: platonizm, arystotelizm, kartezjanizm, heglizm, marksizm. Pod koniec obszernej prezentacji głównych bohaterów, W. Tatarkiewicz wyliczał ich kontynuatorów i epigonów, oddając im sprawiedliwość króciutką notką.

Oczywiście, ktoś mógłby zarzucić mi zarozumiałość czy pychę, gdy sięgam do wzoru tak wybitnych postaci. Ale przecież można i należy wyobrazić sobie jakiś „czwarty tom” *Historii filozofii*, i z góry się troszczyć o jego zawartość. Jak również wyobrazić sobie swoje w nim miejsce: czy znajdzie się ono pośród twórców czy jedynie zwolenników, opozycjonistów, komentatorów czyjś system. I czy zadowoliliby nas pozycja i naśladowcy lub epigona? Oprócz momentu osobistych ambicji, istnieje też znacznie ważniejszy powód, dla którego warto zabiegać o *otsiebinu*. Ten mianowicie, na jaki wskazuje Michaił Bachtin, powiadając, iż każdy człowiek – a tym bardziej autorefleksyjny filozof – „zajmuje jedno – jedyne, niepowtarzalne miejsce w bycie”. Takie, z którego nie wolno, ale też nie sposób go wypchnąć, ale też – na którym nie da się go nikim innym zastąpić. Podobną myśl wyraża w *Osobie i czynie* Karol Wojtyła, pisząc o fundamentalnej „niewymienialności człowieka”.

Z tych powodów wszyscy jesteśmy nie tylko uprawnieni, ale ponadto zobowiązani, ażeby z owego jedyne *własnego* punktu widzenia, narzuconego przez swoje miejsce w bycie: punktu, gdzie „równoleżnik” społecznej przestrzeni” krzyżuje się z „południkiem” historycznego czasu, relacjonowali *swoje unikalne* widzenie Bytu. Nie chodzi przy tym o specjalne silenie się na oryginalność, co wymagałoby ciągłego porównywania się z modnymi wzorcami, lecz o śmiałe wykorzystanie osobistego, niepowtarzalnego życiowego doświadczenia oraz snucia refleksji wynikającej z jego przemyślenia. Wówczas nie ma potrzeby „silenia się” na to, by zaskakiwać czy szokować wydumany nowatorstwem, albowiem myśl wysnuta z doświadczenia świata „całym sobą”, już tylko przez to staje się oryginalna w znaczeniu jej źródłowości. Autonomiczny, ufający własnemu przeżyciu i doświadczeniu człowiek w sposób naturalny sam dla siebie staje się zarówno źródłem wiedzy, jak i jej ocen, wygłaszanych na swój rachunek. Wszak tego nauczał swoich rozmówców Sokrates, co prawda, ukazując również, że za samodzielność sądów przychodzi czasem płacić życiem.

Bliższy nam w czasie Witold Gombrowicz powtarzał, iż „uświadomiona subiektywność stanowi najwyższy rodzaj obiektywności”, zaś piosenkarz-filozof, Kazimierz Grześkowiak, tę samą ideę wyraził metaforycznie: „jesteśmy wagą i odważnikami”.

Istnieją zatem mocne, ontologiczne, antropologiczne i epistemologiczne podstawy do tego, aby każdy człowiek zdążył do budowania własnego myślowego systemu. W przypadku większości zwykłych ludzi przybiera on kształt prywatnego światopoglądu. Co do filozofa natomiast, kierującego się z jednej strony chęcią myślowego objęcia całości Bytu, z drugiej – zasadą wewnętrzną spójności, oczekuje się odeń teoretycznego systemu. Światopogląd ma się do systemu jak namiot do solidnego, wielopiętrowego gmachu. Pierwszy można rozbić na gołej ziemi, przytwardzając go jedynie płytko wbitymi w glebę szpilkami; drugi musi posiadać własne, głęboko wykopane i mocno utwardzone fundamenty. Z tego względu, budowanie własnego systemu filozoficznego, tak by mógł on posłużyć także wielu innym, wymaga wielu uprzednich przygotowań. Nie wystarczy sama chęć czy nawet postanowienie, aby się zabrać do takiej trudnej i odpowiedzialnej pracy.

Spróbuję niniejszym zarysować pewien plan działania zmierzającego ku takiemu celowi, wykorzystując inspirację zawartą w tytule książki M. Heideggera: *Budować. Mieszkać. Myśleć*.

Budowanie. Każdy człowiek, w tym i filozof, w przeciwieństwie do ślimaka czy żółwia, przychodzi na świat „bezdomny”. W tym sensie, że wprawdzie znajduje schronienie – najpierw w ramionach matki i pod dachem rodzinnego domu – ale jest to sytuacja jedynie tymczasowa, przechodnia. Dorastając i dojrzewając, winien go opuścić, by móc z kolei założyć własną rodzinę oraz zbudować dla niej inny, własny dom. Analogicznie rzecz się ma ze światopoglądem, będącym rodzajem „domu dla myśli”. Początkowo, chłoniemy w dzieciństwie poglądy najbliższego otoczenia, wręcz nimi nieświadomie nasiąkamy. Jednakże już w okresie młodzieńczym przechodzimy kryzys wiary i zaufania do tych autorytetów. Jest to czas „nieba w płomieniach”, wybuchu krytycyzmu, który niby ogień spala to, co nie pasuje do nabytych już osobiście nierzadko dramatycznych czy tragicznych doświadczeń i doznań. To, co pozostanie po takowej „próbie ognia”, może już stać się podstawą przyszłej pracy zakładania fundamentów pod własny system.

Poza tym momentem odrzucenia nabytych od innych poglądów, u wielkich filozofów często można też doznać pewnego – jak je nazywali gestaltyści – „przeżycia aha!” – olśnienia, intuicyjnego wglądu, moralnego wstrząsu, doświadczenia „oceanicznego” czy mistycznego – takiego na przykład, jakie przydarzyło się Pascalowi, a którego zapis towarzyszył mu aż do śmierci. Bywa, iż tego rodzaju jednorazowe, nagle, doznanie wglądu w istotę bytu przeczyć może wszelkim wcześniejszym doświadczeniom, jak u św. Augustyna. Najważniejsze, że jest ono wszechobejmujące, i że wstrząsa dachem, murami czy wręcz fundamentami dotychczasowego „domu myśli”, dzierzawionemu od kogoś innego.

Taki rodzaj całościowego wstrząsu, rujnując dawną architekturę myśli, jednocześnie dostarcza tego jednego jedyne punktu oparcia, o jakim marzył Kartezjusz. W takie totalne subiektywne doświadczenie zwątpić już uniesposób.

Jako psychologicznie oczywiste, może też ono stać się węgielnym kamieniem pod zakładanie fundamentu własnej budowli teoretycznej.

Ci, którym nie dane zostało doznać nagłego olśnienia, mogą osiągnąć ten zwrotny punkt w inny sposób. Antytezą „drogi Pascala” jest mianowicie „droga Kartezjusza” – metoda systematycznego wątpienia w zastane poglądy (i systemy) cudze. Jedna i druga bynajmniej nie oznacza odrzucenia czy lekceważenia filozoficznego dorobku poprzedników. Raczej ich przetrwanie i „przepuszczenie” przez osobistą, dogłębną refleksję.

Mieszkanie. Nie tylko w cudzej, ale i we własnej myślowej budowli trzeba się „zadomowić”. Czyli po wzniesieniu jej murów, niejako urządzić wewnątrz i przysposobić do sprawnego i wygodnego w nim się poruszania. Znakomitą ilustracją takich długotrwałych intelektualnych prac jest wyznanie Narcyza Łubnickiego *Moja droga filozoficzna*, wygłoszone w roku 1974 z okazji przyznania lubelskiemu myślicielowi tytułu doktora honoris causa UMCS.

Dokonując retrospekcji, N. Łubnicki, sięga pamięcią aż do dzieciństwa i tam znajduje „okres wstrząsu myślowego”. Poczynając od tego momentu, wspomina potem swoje kolejne filozoficzne fascynacje: intuicjonizm Bergsonowski, „emocjonalny imażynizm”, skrajny pozytywizm, który doprowadził go do równie skrajnego sceptycyzmu, co przyprawiło go o „z kolei skrajną rozpacz”. Z czasem wydobył się z niej, modyfikując swoje „nastawienie filozoficzne”. Przechodząc od „analizy bezosobowych, abstrakcyjnych problemów i schematów”, coraz częściej zajmował się „integralnym badaniem rozwoju myśli filozoficznej u konkretnych, żywych jednostek myślących, nie odrywając ich rozwijających się myśli od ich osobowości, uwzględniając motywy intelektualne i pobudki uczuciowe, wpływ środowiska społecznego i tradycji kulturowej”. „Słowem – uprawiam antropologię filozoficzną”¹ – konstatuje autor.

Jak widać, „meblowanie” własnego już domu intelektualnego przebiegało w tym wypadku poprzez czynienie różnych „przymiarek”, wstawianiu „pożyczanych mebli”. Potąd, dopóki wykorzystując wszelkie stąd płynące, nie tylko negatywne, ale i doświadczenia Autor nie dopasował stworzonych przez siebie. Jak przyznaje, wykorzystał w tym celu nawet marksizm, nakłaniający do uwzględniania okoliczności bytowych dla kształtowania „myślowej nadbudowy”.

Myślenie. Dopiero stojąc mocno na „własnym kawałku podłogi”, można po swojemu postrzegać i interpretować całość rzeczywistości, względnie jej wybrany aspekt. Dla Narcyza Łubnickiego stały się nim ludzkie światopoglądy. Taki też tytuł nosi jego najbardziej oryginalna książka, poświęcona badaniu światopoglądu jego ukochanych rosyjskich filozofów i poetów. Do dziś pozostaje ona niedoceniona, prawdopodobnie z tego względu, iż jej autor fascynował się w równej mierze myślicielami, co artystami. Okazał się w tym względzie pre-

¹ N. Łubnicki, *Moja droga filozoficzna* (Z przemówienia jubileuszowego), „Studia Filozoficzne” 1974, nr 10 (107), s. 77.

kursorem postmodernizmu, który dopiero w kilkadziesiąt lat później „ułaskawił” filozofię literatury.

Reasumując: dochodzenie do osobistej, autorskiej, oryginalnej filozofii własnej oznacza zarówno uleganie i poddawanie cudzym wpływom, jak też ich krytyczne filtrowanie z uwagi na swoje przeżycia. I, co najważniejsze, niezamykanie się w klatce nawet najbardziej spójnego, już przez siebie zbudowanego systemu. Jeszcze raz odwołam się do końcowej wypowiedzi N. Łubnickiego: „Mój światopogląd nie jest zamkniętym systemem; jest »filozofią otwartą«. Myśl filozoficzna nieustannie się rozwija wraz ze wzbogacającym ją doświadczeniem. Nie należy jej włączać w raz wyźłobione, zamknięte łożysko; za ciasno jej będzie i mroczno”².

Na często powtarzane pytanie: jakiej filozofii Polacy potrzebują? – odpowiedziałabym krótko: w ł a s n e j ! Czyli – autorskiej, opartej na doskonałej znajomości *czużiny*, ale tylko jako niezbędnej do uprawiania i wypowiedzania *ostsiebiny*. Bez fałszywej skromności – zdobywania się na mówienie w swoim imieniu i nazywania po swojemu rzeczy. Filozofia autorska odznacza się od komentatorskiej tym, że posiada własną siatkę pojęciową, nanizaną wokół kilku „centralnych kategorii”.

Do niedawna tak się w gruncie rzeczy działo. W ostatnich kilku dziesięcioleciach pojawiły się całościowe systemy takich polskich myślicieli, jak Andrzej Nowicki, Jakub Litwin, Józef Bańka, Leszek Nowak, Zdzisław Cackowski.

W młodszym pokoleniu wymienić należy oryginalne koncepcje, osnute wokół wybranego aspektu człowieczeństwa: Stefana Symotiuka *człowieka niespokojnego*, Andrzeja Zachariasza *człowieka anatelicznego*, Grażyny Żurkowskiej *człowieka radykalnego*. Jadwigi Mizińskiej *człowieka wrażliwego*. Mam nadzieję, że nie jest to pełna lista polskich filozofów poczuwających się do „myślenia bez alibi”. Ufam, że wraz z rosnącym poczuciem wartości i godności własnej Polaków, z zanikaniem kompleksu „młodszych braci” Europejczyków, coraz więcej kolegów zdecyduje się pójść ich śladem. Potrafię też sobie wyobrazić, że kiedyś to anglojęzyczni zachodni filozofowie będą się uczyć języka polskiego, by móc w oryginale studiować filozofię polską, tak, jak to już bywało w przeszłości z Romanem Ingardenem czy Kazimierzem Ajdukiewiczem.

² *Ibidem*, s. 78.